

EUGENIUSZ WOŁOSIK - ŻOŁNIERZ WYKLĘTY

- 1 marca obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” - żołnierzy podziemia niepodległościowego i antykomunistycznego, stawiających opór próbie sowietyzacji Polski i podporządkowania jej ZSRR w latach `40 XX wieku. Pan jest jednym z tych żołnierzy. Proszę powiedzieć, w jakich okolicznościach wstąpił Pan do partyzantki?

- Kiedy wybuchła wojna byłem przy rodzicach, miałem niecałe piętnaście lat. Podczas okupacji wywieziono wielu ludzi, na szczęście nie nas. W roku 1941 proponowano mi wejście do Związku Walki Zbrojnej, który od 1942 roku przemianowano na Armię Krajową. 10 października 1941 roku składałem przysięgę. Jak do tego doszło pyta Pani... Otóż mój ojciec był sołtysem. Do naszego domu przydzielono na czas wojny zastępcę dowódcy okręgu białostockiego ZWZ do spraw łączności - Józefa Ochmana o pseudonimie „Orwid”. Byłem bardzo sprytnym siedemnastolatkiem, takim co to zawsze wszędzie wlezie i z tego względu dowódca zainteresował się mną. Zostałem łącznikiem-kolporterem. Przewoziłem ważne dokumenty, informacje w naszym okręgu. Oczywiście oprócz tego świadczałem koleżeńskie przysługi, dostarczałem potrzebne kolegom zaopatrzenie, alkohol oczywiście też. Cały okres okupacji w taki sposób działaliśmy. Byliśmy na swoim terenie, byliśmy nie do złapania przez Niemców. Nasze bazy znajdowały się na mokradłach nad Narwią. Teraz na tych terenach jest Narwiański Park Narodowy.

- Czy brał Pan udział w akcjach na froncie?

- Tak... Najgorsze nadeszło od roku 1944 wraz z akcją „Burza”. Akurat na naszym terenie umiejscowiony został front. Do naszego okręgu jako pierwszego dotarła informacja, że Polacy zajęli Wilno, jednakże NKWD aresztowało polskich żołnierzy, wydzierając Wilno z rąk polskich. Ja jako goniec musiałem w tym czasie dostarczyć tę informację do radiostacji, co wiązało się z tym, że należało przedrzeć się przez front niemiecki i radziecki na drugą stronę Narwi. Było to

bardzo ważne, inni musieli się dowiedzieć, że armia radziecka nie przybyła jako przyjaciel, lecz jako wróg. Wraz z innymi żołnierzami próbowaliśmy przedostać się na drugą stronę, jednak to okazało się niemożliwe. Podczas tej próby bardzo ucierpiałem. Niedaleko mnie wybuchła bomba, która raniła mnie, wyrządzając spustoszenie w organizmie. Został uszkodzony mój kręgosłup oraz częściowo straciłem słuch. Oddano mnie do rosyjskiego punktu sanitarnego. Przebywałem tam około dwóch miesięcy. Byłem na liście NKWD, w każdej chwili mogłem być aresztowany. Dlatego, kiedy wydobrzałem, powróciłem do Armii Krajowej. Znalazłem się wśród żołnierzy, którzy stawiali opór władzy komunistycznej. Dziś mówi się o nas „żołnierze wyklęci”. Tu muszę zaznaczyć, że prowadzenie akcji podziemnej za okupacji to była „kasza z mlekiem” w stosunku do tego, co później robili Rosjanie. Jednostki sowieckie oraz polskie służby bezpieczeństwa robiły wszystko, żebyśmy znaleźli się na śmietniku historii, szukali nas, mordowali bez skrupułów, represje były straszne. Na szczęście ja nie dałem się złapać. W roku 1946 wycofałem się, wyjechałem do Warszawy. Urząd Bezpieczeństwa miał mnie na liście. W 1947 skorzystałem z amnestii. Rozpocząłem szkołę średnią, a potem dostałem się na Politechnikę Warszawską.

- Czy podczas wojny doświadczył Pan, mimo wszędzie obecnego okrucieństwa, miłosiernych i szlachetnych czynów?

- Tak, ludzie nam pomagali. Nie wytrzymalibyśmy gdyby nie pomoc ludzka. Przeważnie wśród ludności wiejskiej było to widoczne, mimo że bardzo ryzykowali. Staraliśmy się ich nie narażać, działaliśmy ostrożnie. Po żywność czy ubrania przychodziliśmy w nocy, po cichu, przez nikogo niezauważeni. Dzięki takim ludziom przetrwaliśmy. Tu zaznaczę też, nie ukrywając niczego, że podczas siarczystych mrozów przy życiu trzymał nas pędzony bimber. Bez tego człowiek nie wytrzymałby takiego zimna.

- Spośród tych trudnych przeżyć, która z akcji naj-



Eugeniusz Wołosik (pierwszy z prawej) podczas odznaczenia orderem Virtuti Militari

Eugeniusz Wołosik
- urodzony 18.04.1925 roku we wsi Waniewo w województwie podlaskim, „żołnierz wyklęty”, pseudonim „Kula”, porucznik w stanie spoczynku, Prezes Zarządu Oddziału Związku Inwalidów Wojennych RP w Ciechocinku, członek Towarzystwa Przyjaciół Ciechocinka.

bardziej utkwiała Panu w pamięci?

- Najcięższa była dla mnie sytuacja, która rozegrała się nad Narwią. Byliśmy ścigani przez oddziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zapędzili nas nad brzeg. Pozostało nam albo oddać się w ręce KBW, albo przedostać się na drugą stronę rzeki, co wiązało się z wejściem na łamiący się pod stopami lód. Zaryzykowaliśmy. Dzięki temu żyję.

- Czy, gdyby miał Pan wybór, walczyłby Pan ponownie?

- Wie Pani co... My jako młodzież byliśmy wychowani propaństwowo. Ojczyzna była dla nas najwyższą wartością. Kiedy zaproponowano mi działalność partyzancką, nawet nie zastanawiałem się. Dla mnie to było oczywiste. Mimo że byłem jedynym dzieckiem moich rodziców, oni też rozumieli, że będę służył państwu. Bóg, honor, ojczyzna - to było najważniejsze. Mimo że teraz jestem schorowany, nie mogę poruszać się o własnych siłach, walczę w sądzie o odzyskanie statusu inwalidy wojennego, który odebrano mi bezpodstawnie, to gdybym ponownie miał wybierać, stanąłbym w obronie kraju. Mam nadzieję, że jeszcze za mojego życia ta sprawa zostanie rozwiązana. Na razie czekamy...

Z Eugeniuszem Wołosikiem rozmawiała Karolina Jasińska